



JANUSZ KORCZAK
ŚŁAWA



SŁAWA

JANUSZ KORCZAK

SŁAWA

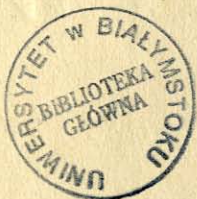
OPOWIEŚĆ

OKŁADKA I ILUSTRACJE J. TOMA

WYDANIE NOWE



79856
WARSZAWA — 1935
T-WO WYDAWNICZE W WARSZAWIE



253266

BIBLIOTEKA GŁÓWNA
Uniwersytetu w Białymstoku



FUW0106459

W-125/2000

Drukarnia Naukowa Towarzystwa Wydawniczego w Warszawie
Rynek Starego Miasta 11

ROZDZIAŁ PIERWSZY.

Najtrudniej zacząć opowiadanie, bo trzeba odrazu dużo powiedzieć. A jeżeli powiedzieć odrazu za dużo, może się wszystko poplątać.

W tej powieści jest aż pięcioro dzieci, są ich rodzice, stara babcia, wuj, kot, ciocia i wiele innych osób.

Właściwie warto mówić tylko o starszych. Bo i cóż może być ciekawego w małej Abu, która zawsze śpi, płacze lub mruczy: „aba, abu, abu?”

Wicuś i Pchełka są starsi od Abu, ale niezadługo zachorują i umrą, więc i o nich niewiele można powiedzieć. Babcia też zaraz wyjedzie, a kot zostanie na dawnym mieszkaniu.

I o dawnym mieszkaniu wspominać nie warto, bo przecież się wyprowadzą.

Teraz Władek chodzi jeszcze do szkoły, ma pasek z klamrą, bluzę z boczną kieszenią, piórnik z kluczykiem. I Mania chodzi

do szkoły, ale łatwej — gdzie tylko stawiają do kąta, jeżeli się źle sprawować.

Właściwie Władek rozmawia tylko z Manią, ale też niechętnie. Bo Mania jest dziewczyna, pożaru nie widziała, a jak coś opowiada, nigdy wiedzieć nie można, czy było naprawdę, czy tylko tak wymyśliła.

— Kłamiesz! — mówi Władek.

— Jak mamę z duszy kocham, że prawda!

I Władek w rozmowie z Manią ciągle powtarza:

— Ty tam dużo wiesz!

Albo:

— Co ty tam wiesz!

Albo:

— Głupia jesteś...

O cioci, której zawsze gorąco i nie znosi hałasów, też mówić nie warto, bo tatusiowi nie chciała pożyczyć stu rubli; a tatuś był łatwowierny i wszystkim pożyczał.

Nawet wuj — ale nie cioci mąż, tylko ten drugi, który Pchełkę nazwał Pchełką i Władkowi dał domino i piórnik z kluczykiem — też nie będzie przychodził na nowe mieszkanie.

I wszystko się zmieni.

Można wspomnieć, że raz Abu wypadła z kołyski; że Pchełka znalazła za beczką mysz, która się jeszcze ruszała; że Władek bardzo pokłócił się z Wicusem

o pachnącą flaszkę od wody kolońskiej, bo nie wiedział przecie, że Wicus zachoruje i umrze.

Można wspomnieć, iż tatusiowi dlatego zaczęło się źle powodzić, że naprzeciwko Smok założył kawiarnię z marmurowymi stolikami dla gości i na szybach namalował kije i kule bilardowe.

— Zobaczysz, że ten Smok nas pokłnie — powiedziała do ojca mama, kiedy zobaczyła marmurowe stoliki i duży śliczny szyld z namalowanym plackiem i szklankami.

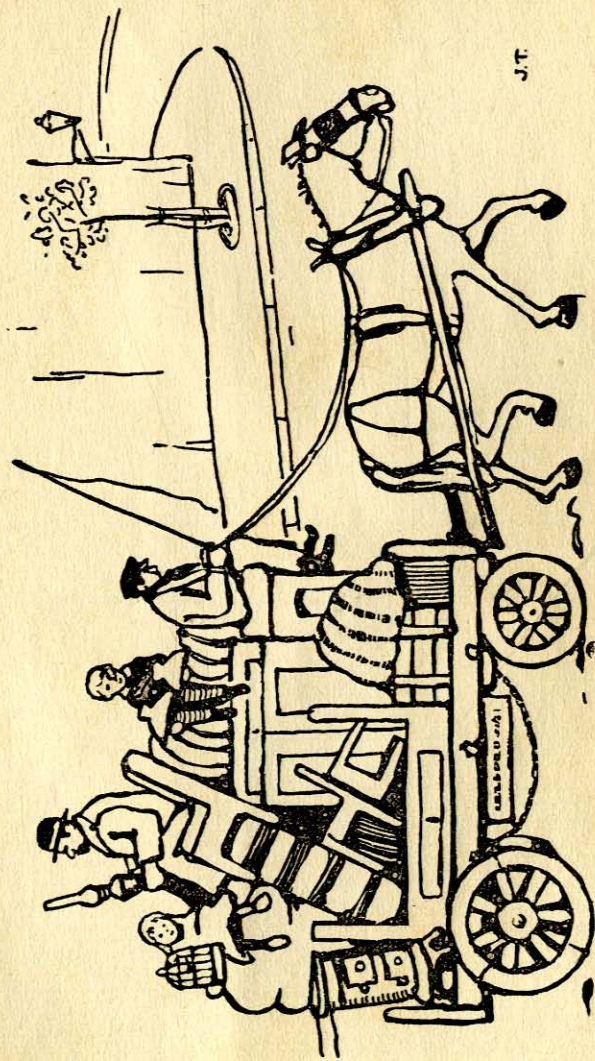
I naprawdę wszyscy zaczęli chodzić naprzeciwko, nie chcieli pić herbaty i mleka w kawiarni tatusia, przy stolikach, obitych ceratą.

— Trzeba będzie gdzieindziej szukać chleba — mówiła mama, a tatuś wzdychał.

Władek wiedział, że mają się wyprowadzić, ale nie rozumiał, dlaczego; bo tatuś był przecie pierwszy, więc po co ma ustępować?

Muszę dodać, że akurat przed przeprowadzką rozkopano całą ulicę i położono długie żelazne rury.

Można się było tak pysznie bawić w fortecę.



ROZDZIAŁ DRUGI.

Przeprowadzka jest bardzo przyjemna, bo przy pakowaniu wolno wszystko robić; widzi się wiele przedmiotów, które były schowane, a pudełka i sznurki, które mama wyrzuca, można wziąć sobie na własność. Przeprowadzka nawet wtedy jest miła, kiedy na ulicy wykopano rowy; nawet wtedy, gdy się widzi łzy w oczach rodziców, smutek babci i kota.

Bo i kot jest smutny. Ziewa, myje się, miauczy, ciągle chodzi za babcią i starannie unika Wicusia. Wicus chce wytłómaczyć, co się dzieje, ale kot nie słucha. Wicus bierze go na kolana; kot przypomina sobie coś bardzo ważnego i szybko odchodzi.

Ojciec, Władek i Mania pojadą na furze z rzeczami, a babcia, mama i malcy — tramwajem. Władek trzyma dwa klosze od lampy, a Mania — klatkę z kanarkiem.

Jechali długo — długo, zupełnie innemi

ulicami; potem weszli bardzo wysoko, a na każdym piętrze wiele osób im się przyglądało.

— Teraz będzie u nas czysto — pomyślał Władek.

Bo mama mówiła, że brudno u nich jak w chlewie, że na parterze nie może być czysto, że dzieci przynoszą śmiecie i błoto z podwórza.

Obiadu dnia tego nie było. Spali na podłodze, bo łóżka trzeba dopiero zestawić, a przy jednym łóżku ułamała się noga.

Nazajutrz wszyscy wstali wcześniej. Wicuś nie chciał się ubrać — mama dała mu trzy głośne klapsy. Wicuś bardzo się zdziwił i zaraz przestał płakać. Zrozumiał, że na nowem mieszkaniu jest jakoś inaczej.

— Pijcie herbatę i wynoście się na podwórko — powiedziała mama.

Dawniej mama dodawała jeszcze:

— I nie bawcie się z łobuzami.

— Czy wszyscy mają wyjść? — zapytał Władek.

— Wszyscy — powiedziała mama.

Władek sprowadził ze schodów Wicuś tak samo ostrożnie, jak wczoraj niósł klosze od lampy. Wicuś był bardzo zadowolony, że tyle schodów ma do schodzenia; a Mania prowadziła Pchelkę i niosła trzy pudełka, bo się bała, że je mama wyrzuci.

Na podwórzu stanęli koło muru, a dzieci z podwórza przyglądały im się ciekawie; nic nie mówiły, tylko podchodziły coraz bliżej i patrzyły. To było bardzo nieprzyjemnie tak nie znać nikogo.

Dopiero jedna starsza dziewczynka odpendziła wszystkich:

— Czego się gapicie? nie widzieliście ludzi, czy co? Odejdźcie sobie.

Posłuchali i odeszli, a ona została.

— Wyście się wczoraj sprowadzili — prawda? — zapytała.

— My — odpowiedziała Mania.

Właściwie Władek powinien był odpowiedzieć, bo starszy; ale on myślał, co zrobić, aby obca dziewczynka zrozumiała, że nie jest zwyczajnym łobuzem. Powiedzieć odrazu, że chodził do szkoły, nie mógł przecie, bo nie chciał się chwalić; ukłonić się też nie mógł, bo czapkę zostawił na górze. Więc nagle powiedział:

— Dziękuję.

— Za co mi dziękujesz? — zapytała zdziwiona.

— Że ci wszyscy poszli sobie od nas.

Władek zrozumiał, że wyrwał się głupio, bo mama kazała dziękować za prezent, a dziewczynka nic im nie dała.

Potem zaczęli rozmawiać, i nowa znajoma opowiedziała o swym ojcu bardzo dziwną historję. Mówiła szeptem, żeby nawet

Mania nie słyszała, i zabroniła Władowi powtarzać.

Władek wrócił do mieszkania dumny, że powierzono mu tak wielką tajemnicę, o której nikt wiedzieć nie powinien.

ROZDZIAŁ TRZECI.

Mania, Pchełka i Wicusz prędko znaleźli znajomych i, jeśli była pogoda, bawili się na podwórku, czego im mama teraz nie zabraniała wcale. Mania nie zabierała na podwórko żadnej zabawki, bo zawsze ktoś prosił, żeby mu podarować. Jeśli deszcz padał, schodzili o piętro niżej i albo bawili się w sieni, albo u państwa na dole. Wtedy Mania brała lalkę od wuja lub serwis, który został jeszcze z dobrych czasów.

I nic im nie brakowało — tylko karmelków.

Władek został sam. Nudził się bardzo. Miał żal do Mani, Wicusia i Pchełki, że nie dbają o niego; widział, jak biegali to z tym, to z owym, a przychodzili na górę tylko na jedzenie i nic zupełnie nie opowiadali. A Władek jest zbyt dumny, aby się pierwszy zapytać.

Raz otworzył Władek tornister, przejrzał kajety i książki, ale nic nie miał zadane,

bo do szkoły nie chodził; więc znów usiadł przy oknie z małą Abu i patrzył głęboko w dół na podwórze, gdzie wszystko wydaje się takie małeńkie z wysoka. Dawniej robił łaskę, gdy bawił się nawet z Manią; teraz została mu Abu, która jeszcze mówić nie umie.

Jeśli mama posyła go do sklepu, idzie przez podwórze bardzo wolnym krokiem: a nuż ktoś zaczepi i zagada?

Tam, gdzie dawniej mieszkali, znał wszystkich i wszyscy jego znali: i tokarz, i golarz, i pan Marcin, i Franek. Żeby tak można wrócić choć na chwilę, zobaczyć, co się dzieje, kto mieszka w dawnym mieszkaniu, co robią bez niego w szkole, czy już na podwórzu kopią doły i rowy...

Źle było Władowi.

Rano ojciec wychodził, wracał koło wieczora, i mama pytała się codziennie:

— No i cóż?

— A no nic — odpowiadał ojciec.

Babcia siedziała smutna, nawet nie gderła, bo wszystko robi teraz mama. Za to mama częściej się gniewa, i Wicuś i Pchelka zamiast karmelków dostają klapsy.

Mama mówi:

— Nie myślcie, że teraz — to dawniej.

Tak działo się aż do soboty.

W sobotę przyszedł wujek i ciocia, ale bez Azora i tylko z jednym Jankiem. Władek

nie lubi Janka, bo się chwali. Byłby został chętnie w mieszkaniu, żeby słyszeć o czym starsi będą mówili, ale mama kazała zejść na dół.

— Tylko bawcie się sami — powiedziała ciocia, i Władek się zarumienił.

Janek mówił mało, nic nie wspominał o strzelbie, i wogóle Władowi się zdawało, że Janek wie dużo, ale mu ciocia zabroniła mówić. Usiedli na oknie w sieni i patrzeli, jak się malcy głupio bawią w gości.

Kiedy zawołano ich na górę, Władek myślał, że będzie kawa i placek; ale na stole nie było nawet obrusa ani filiżanek.

— Nie jesteś głodny, Janku? — zapytała mama i spuściła oczy.

— Nie, nie jest głodny — prędko powiedziała ciocia. — Prawda, Janku, że nie jesteś głodny?

I zaczęto się żegnać, ale inaczej niż zwykle, i Władek zaraz się domyślił, że babcia ma jutro wyjechać.

Dawniej babcia często gniewała się na Władka i skarżyła się ojcu, i Władek tylko tyle ją kochał, ile trzeba koniecznie. A teraz, gdy spojrzał na jej pomarszczoną twarz i zobaczył, że jest bardzo stara, i pomyślał, że nie ma nikogo — Władowi tak się zrobiło, jak wtedy, kiedy się chce płakać. Ale nie płakał i pomyślał tylko:



— Pewnie dlatego nie płaczę, że już jestem duży.

I pierwszy raz w życiu wcale się nie cieszył, że już jest duży.

Bo co mu z tego przyjdzie?

ROZDZIAŁ CZWARTY.

Nazajutrz Władek obudził się bardzo wcześnie, chociaż była niedziela. Coprawda, teraz niedziela niczem się nie różni od dnia powszedniego.

Starsi już nie spali. Babcia była ubrana, jak do wyjścia, a ojciec wiązał tłomok.

Władek usiadł na łóżku, ale mama powiedziała gniewnie:

— Śpij, śpij, jeszcze wcześnie.

Więc położył głowę na poduszkę i zmrużył oczy. Ojciec skończył wiązanie, pił bardzo ciemną kawę, i nikt nic nie mówił. Ojciec pił prędko, a babcia łyżeczką i długo dmuchała w każdą łyżeczkę. Potem mama zawinęła w gazetę chleb, którego nie jedli, a babcia szepnęła cicho:

— Po co to? Nie, nie potrzeba.

— Przyda się w drodze — powiedziała mama.

Potem babcia uklękła przy łóżku, gdzie spały dzieci. Władek zamknął oczy i słyszał, jak tatuś pomaga jej wstać z kolan.

Ojciec wziął tłomok i wyszedł razem z mamą i babcią do sieni; potem mama wróciła, usiadła na krześle i długo o czemś myślała.

Kiedy Władek obudził się drugi raz, Wicus już nie spał. Przecierał oczy, krzywił się, rozglądał i powiedział:

— Babcia poszła do kota.

Teraz dopiero przypomniał sobie Władek, że kot został na tamtem mieszkaniu, i pomyślał, że Wicus jest jeszcze bardzo głupi.

Mama pozwoliła iść Mani i Pchełce do kościoła z panią z dołu, bo mama parę razy rozmawiała z tą panią i pożyczyła jej balji do prania.

Wicus poszedł do sieni do malców, a Władek usiadł z Abu na oknie.

Dziś wszystkie dzieci miały trzewiki i nie przewracały się po ziemi. Przez podwórze przeszedł ten duży zawsze obdarty chłopiec i ten, co ze stróżem razem zamiata rynsztoki, i ten, który dawał wszystkim lizać duży czerwony karmelek. Przeszła dziewczynka, która się z nikim nie bawi, tylko patrzy, i wszyscy pozwalają jej stać blisko i patrzeć.

Bo nie każdemu wolno stać blisko, jak się inni bawią; bo zaraz mówią:

— Czego? Nie widziałeś? Jaki masz interes?

I Władowi tak raz powiedzieli. A kiedy odchodził, ktoś krzyknął jeszcze:

— Patrzcie go, facet z morskiej piany! Gniewali się pewnie, że był w trzewikach, chociaż dzień powszedni.

Dlatego właśnie Władek nikogo jeszcze nie zna, choć cały tydzień tu mieszka. Obrazili go na podwórzu, więc dał słowo honoru, że do nikogo nie podejdzie pierwszy, a oni o niego nie dbają.

— Pomóż mi obrać kartofle, Władek--- powiedziała mama takim głosem, jak oni mówią do mamy, kiedy proszą o coś, a nie wiedzą, czy mama się zgodzi.

Władek posadził Abu w kołysce, wziął nóż i bardzo niezgrabnie zaczął obierać kartofle, które ślizgały mu się w rękach, a jeden wysunął się i potoczył głęboko pod szafę.

Koło południa wróciła Mania z kościoła i z tajemniczą miną usiadła przy Władku.

— Wiesz, co ci powiem? — zaczęła, bo nie wiedziała, czy Władek zechce słuchać. — Wiesz, że ojciec tej Natalki, co z tobą rozmawiała, jest polityczny i siedzi pod ziemią w fortacy? Przyszło tyle wojska! Założyli mu łańcuchy na ręce i nogi, oczy mu zawiązali zupełnie i w usta włożyli chustkę, żeby nie krzyczał. A jeden oficer stał na koniu i tylko patrzył, żeby strzelić, jak się kto ruszy.

Skąd Mania wiedziała o tem, o czem w tajemnicy opowiedziała mu wtedy Natalka?

Tylko, że Mania zupełnie inaczej mówiła — z różnemi dodatkami i bez sensu.

Ojciec Natalki był polityczny — to prawda, ale aresztowali zwyczajnie, bo znaleźli u niego papiery, i wcale mu żadnych łańcuchów nie kładli.

Jak ta Mania dziwnie jakoś wszystko opowiada — jak bajkę! Poco kłamać, kiedy można zwyczajnie powiedzieć? — Władek strasznie tego nie lubi.

ROZDZIAŁ PIĄTY.

Nareszcie Władek znalazł przyjaciela. Siedział raz Władek na schodach z Abu. Nagle usłyszał, że ktoś idzie i gwizdże.

— Łobuz jakiś — pomyślał, bo mama mówiła, że gwizdzą tylko łobuzy.

Chłopiec z paczką książek zatrzymał się zdyszany, położył książki na oknie, przykucnął i zaczął oglądać. Uśmiechał się zadowolony, i znać było, że chce z Władkiem rozpocząć rozmowę, bo raz i drugi spojrzał na niego.

— Umiesz czytać? — zapytał wreszcie.

— Rozumie się — odpowiedział Władek.

— Widzisz, na tę książkę polowałem już od miesiąca!

Władek bawił się w polowanie z kuzynem Jankiem, który ma strzelbę; ale polowali na zające i kaczki; a co może znać polowanie na książki — nie wiedział.

— To jest powieść historyczna z czasów napoleońskich. Widzisz, są wszystkie

kartki i wcale nie zniszczona. Wszystkie napoleońskie powieści czytałem po dwa razy. A „Potop” czytałem trzy razy. Znasz „Potop?”

— Znam — powiedział Władek, który uczył się o potopie w szkole: jak Noe wybudował arkę i gołąb przyniósł mu gałązkę na znak, że już sucho.

— Ta książka znowu — objaśniał dalej chłopiec — jest naukowa, o gwiazdach. Także już raz ją czytałem; ale wziąłem, bo pani nie chce dawać samych powieści. Zresztą powieści łyka się w jeden dzień, a książki wydają tylko raz na tydzień, toby mi się potem nudziło. A ty jak się nazywasz?

— Władek.

Władek ciekawie przyglądał się chłopcu, który łyka książki. Co znaczy połknąć książkę i gdzie się na nią poluje?

— Ty jeszcze nie byłeś w czytelnicy, prawda? Szkoda, że nie wiedziałem, bo byłbym wziął druczek. Chociaż możesz napisać na zwyczajnej kartce, byle rządcą położył pieczętę. Już ja cię wkieruję. Idziesz po obiedzie w gości?

— Nie — odpowiedział zakłopotany Władek, bo coraz mniej rozumiał, o czym mówi nowy znajomy, a bał się zdradzić, że nie wie, że głupi i nie warto się z nim zadawać?

Umówili się na piątą godzinę, choć Władek nie zna się jeszcze na zegarze.

Pamiętny był to dzień w nowym życiu Władka. Bo czego mu chłopiec nie naopowiadał! Rzecz dziwna: do szkoły nie chodzi, a przecież wie wszystko.

Wie, w jakim kapeluszu chodził Bonaparte, jak ręce zakładał na piersi. Wie, jak po czerwonej podszewce odróżnić generała od zwyczajnego oficera, i że są drzewa baobaby tak ogromne, że można w ich pniu mieszkać, jak w domu; że w powietrzu jest gaz-tlen, bez którego duszą się myszy i dzwonek nie dzwoni, i że kto zębów nie myje, ma w ustach robaczki, i że telegraf — to iskra elektryczna.

— Chcesz się przekonać? — zapytał.

— Chcę — odpowiedział Władek, bo choć wierzył, że mówi prawdę, jednakże — kto wie, czy to prawda?

Przeszli przez parkan i przyłożyli ucho do słupa.

— Widzisz druty?

— Widzę — powiedział Władek.

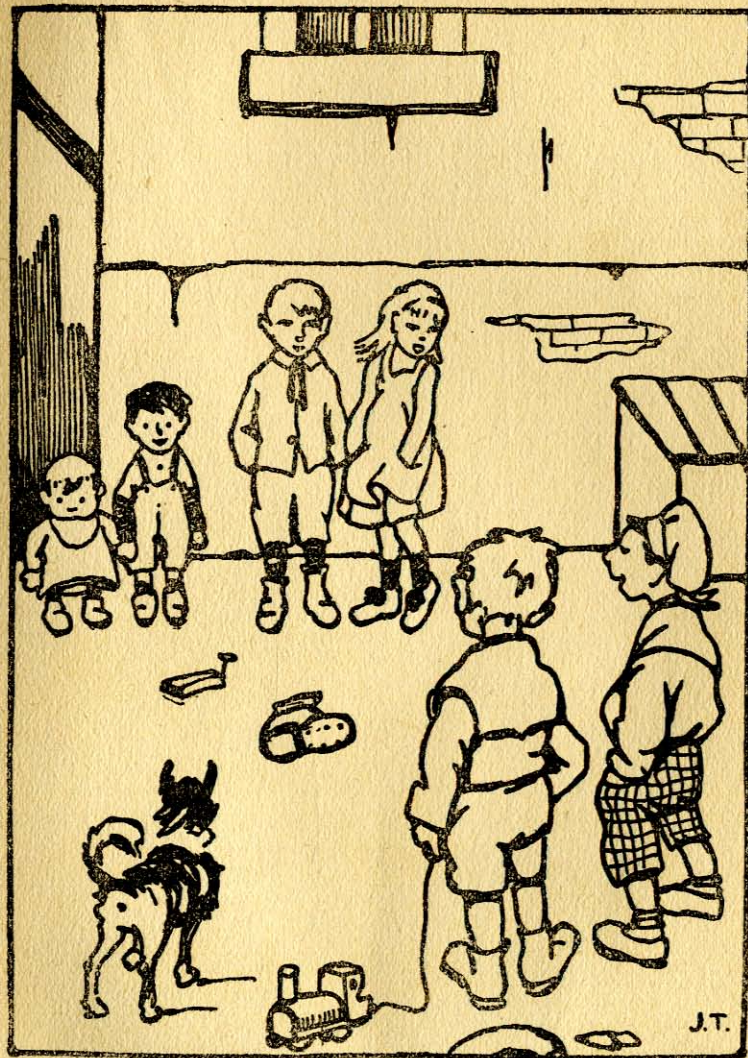
— Więc to telegraf, prawda?

— Prawda — powiedział Władek.

— I słyszysz, jak huczy w środku?

— Słyszę — powiedział Władek.

— No widzisz, bo w słupie jest elektryczność.



ROZDZIAŁ SZÓSTY.

Koło parkanu, w kącie podwórza, na niskim dachu lodowni, w ciągu całego szeregu wieczorów pobierał Władek nauki od Olka, a wzamian udzielał mu wiadomości o szkole i nauce szkolnej. Kiedy czytali na zmianę, wszystko szło dobrze. Kiedy zaś wzięli jaką szkolną książkę: gramatykę albo zbiór zadań — Władek przekonał się, jak wszystko źle wiedział, jak mało umie.

— Rzeczownik odpowiada na pytania: kto? co? Jeżeli żyjący — kto? jeżeli nieżyjący — co?

— Więc Napoleon to też rzeczownik?

— Rozumie się, bo go można widzieć.

— A nie można go widzieć, bo umarł.

— No tak, ale na obrazku.

— A na obrazku nie żyje przecie, więc odpowiada na pytanie: co?

Władek wzrusza ramionami.

— A czy sława to też rzeczownik?

— Sławę można czy nie można widzieć?

I dlaczego sława odpowiada na pytanie: co? — kiedy sława żyje?

— Sława nie tylko żyje, ale jest nieśmiertelna.

Olek chce być sławnym wodzem i na pewno nim będzie. Olek ma na to sposób, żeby być sławnym: trzeba wieczorem patrzeć na niebo, kiedy są gwiazdy, bo między niemi są spadające gwiazdy. Trzeba uważać, kiedy taka gwiazda spada, i prędko powiedzieć:

— Chcę być sławny.

To się spełni.

Można powiedzieć: chcę być bogaty.

Ale Olek nie dba o pieniądze.

— Bogaty żyje, żyje, potem umrze — i już. A sławny — to zupełnie co innego.

W niedzielę byli w czytelni — i czekali całą godzinę, zanim ich wywołano; i Władek zrozumiał, co znaczy polować na książki.

W szkole, prócz paru uczniów, chłopcy nigdy nie mówili o książkach. A to, co w nich napisane, mówiło się tylko wtedy, kiedy nauczyciel wyrwał do tablicy.

Tu zaś zupełnie inaczej.

— Czy to ładna książka? Co czytałeś? O czym tam się mówi? Znam, nie znasz. Bajka, powieść, wierszyki, życiorysy. Łatwa, trudna książka; w jednym, w dwóch tomach.

Chłopcy brali książki dla siebie, dla braci, sióstr i rodziców.

Olek znał tu wszystkich, i jego wszyscy znali. Dawał wskazówki, namawiał, odradzał.

— Myślisz, że pani ci da trzy powieści? A inni co będą mieli? — Tej książki nie bierz, bo koniec wydarty. — Ta strasznie śmieszna. — To podróż fantastyczna. — Weź tę dla ojca.

Sam Władek nicby nie wiedział.

Olek oddał kartkę z pieczętąką rządcy.

— Proszę pani, to nowy chłopak.

Władek tylko szurgnął nogami i to niezgrabnie, bo go pchali, bo miejsca nie było.

Pani wzięła kartkę, zapisała nowego czytelnika.

— A masz dziesiątkę?

— Nie mam, proszę pani.

— To przyniesiesz za tydzień.

— Dobrze, proszę pani.

Władek się zasmucił.

— A co będzie, jak mama nie zechce dać dziesiątki? — zapytał w powrotnej drodze.

— Nie szkodzi. Ta pani nie żąda. Do tej drugiej bez dychy ani przystąp, a ta dobra, tak tylko mówi. A zresztą, kiedyś honorowy, to ci pożyczę.

Olek ma posadę w składzie materiałów piśmiennych i zarabia sześć rubli na miesiąc.

— Nie bój się, i dla ciebie znajdę miejsce. Jak dostanę się do księgarni, odstąpię ci moje.

Tego wieczora wszyscy w domu czytali: i ojciec, i mama, i Władek; a Mania pokazywała Wicusiovi i Pchełce obrazki i do każdego obrazka z głowy wymyślała powiastkę.

— Tylko pamiętaj, żeby nie zniszczyć — upominał Władek.

I wieczór prędzej przeszedł, niż wszystkie poprzednie.

ROZDZIAŁ SIÓDMY.

Ojciec w dzień sypia, wychodzi wieczorem i wraca rano. Ojciec znalazł robotę w piekarni, gdzie zdrowie rujnuje i tak mało zarabia, że Władek często teraz bywa głodny.

Ach, za nic w świecie nie powiedziałby nikomu — ani mamie, ani nikomu, nikomu, bo strasznie wstyd być głodnym. Ale kiedy widzi, że jest mało chleba, kraje cienki plaster. A kiedy mama nalewa zupę, mówi, że dosyć, choćby zupa ładnie pachniała. I często — ach, jak Władkowi wstyd! — przypomina sobie wielkie pajdy chleba z powidłami na dawnym mieszkaniu. Mama nikogo teraz nie namawia do jedzenia, nawet Wicusia. Władek udaje, że nie zauważył.

I zupełnie niespodzianie Władek też znalazł zajęcie.

W tym samym domu był sklepik. W sklepiku mieszkali mąż i żona, ale nie mieli dzieci. Ona bardzo gruba, a on miał

drewnianą nogę. Oboje nie umieli ani czytać, ani nawet rachować.

Raz kazali Władkowi przeczytać o zbrodni, która się stała na tej samej ulicy; pochwalili Władka, że płynnie czyta, i dali mu sześć landrynek. Władek dał Pchełce i Wicusowi po dwie landrynki, bo mali, jedną landrynkę dał Mani i jedną głuchoniemej dziewczynce, która z nikim się nie bawi, tylko zawsze stoi blisko i patrzy, jak się inni bawią, i nikt jej stać blisko nie zabrania.

Parę razy Władek czytał gazetę w sklepiu i parę razy robił rachunki. Potem pan z grubą żoną przyszli w niedzielę z wizytą i powiedzieli, że Władkowi za robienie rachunków będą płacili pięć złotych na miesiąc i że chcą wziąć małą Abu na własność, bo Abu już piersi nie ssie, a oni nie mają dzieci.

Władkowi zdawało się zawsze, że nie kocha Abu. Abu była kapryśna i beksa, nie rozumiała nic i wszystko chciała brać do rąk, a jak wzięła, zaraz zepsuła. I mama kazała jej ustępować, że Abu jest mała i głupia. Jak głupia, niech się nie naprzykrza, nie wtrąca do wszystkiego! I Władek zły jest często na Abu, jeśli musi ją bawić.

Kiedy jednak usłyszał, że mają zabrać Abu na zawsze, że już nie będzie jej bratem,

że pan bez nogi ma być jej tatusiem, zdawało mu się to tak straszne! Abu stała się tak drogą, że za nic w świecie Władek się nie zgodzi.

— Mamo, ja będę pracował, Olek znajdzie mi miejsce... Nie, nie, mamo, nie oddawajcie Abu. Ona taka malutka! Jej będzie smutno bez Pchełki i bez Wicusia. Ja oddam jej swoje kartofle.

Władek zapomniał zupełnie, że już jest duży, i tak płakał, tak strasznie płakał, że uciekł na dach lodowni w kącie podwórza i jeszcze i jeszcze płakał i nie mógł się uspokoić.

Za co ich Bóg tak karze? Kawiarni nie mają, do szkoły nie mogą chodzić, kot ich opuścił, babcia wyjechała, tatuś zdrowie marnuje...

I Władek wszystko powiedział Olkowi.

— Nie becz, frajerska łapo — pocieszał go przyjaciel — wszyscy sławni ludzie byli nieszczęśliwi.

I podarował Władkowi dewizkę z globusem.

ROZDZIAŁ ÓSMY.

— Jutro nie idę do budy — powiedział Olek.

Budą nazywa Olek sklep, w którym pracuje, a właściciela sklepu nazywa „starym“. Jeżeli nawet „stary“ jest młody, zawsze nazywa się stary — bo wszyscy tak mówią.

Olek musi iść do ochrony, żeby zapisać młodszego brata.

— I ty masz malców u siebie. Weź ich metryki, wszystko troje się razem zapisze. Ale ty pewnie znów nie rozumiesz?

Olek już wie, że Władowi wszystko trzeba tłumaczyć.

Ochrona jest szkołą dla dzieci zupełnie małych; ośmioletnie już są za duże, bo uczyć nie wolno nawet liter. Dzieci rysują, śpiewają, wyplatają koszyczki, dostają mleko i dwa razy do roku prezenty: fartuszki albo trzewiki i ciastka.

— A zresztą sam zobaczysz.

Jaki ten Olek jest śmiały!

Wszedł z przedpokoju do klasy i pokazał Władowi, gdzie siedział, kiedy był mały i sam tu przychodził. Potem pokazał na ścianie obrazki, które już wtedy wisiały, i nowe, które później przybyły. Potem otworzył drzwi do drugiego pokoju, gdzie stoły i ławki są inne i większe.

— Patrz, widzisz? — to szwalnia. Tu starsze dziewczyny uczą się szyć i haftować.

Tam też zastała ich niska, chuda pani, która Olka od razu poznała i wcale się nie gniewała.

— A, Olek, jak się masz? Co powiesz nowego?

— Przyszedłem do pani z ważnym interesem. Mam nadzieję, że pani nam nie odmówi. A to mój kolega Władek, który także ma dwoje dzieci.

Pani podała Władowi rękę, z którą Władek nie wiedział, co zrobić.

— Oto metryka mojego brata, a te dwie — dzieci mego przyjaciela.

Pani przejrzała metryki, skrzywiła się, że Wicus trochę za mały jeszcze do ochrony.

— Już ja za nich odpowiadam, proszę pani — zapewniał Olek. — Cała trójka, proszę pani, jak ulana i w najlepszym ga-

tunku. Niech pani nie grymasi, bo towar dobry, po cenie hurtowej.

— Nie błażnij, Olek — powiedziała pani. — Poco udajesz głupca, kiedy jesteś rozumnym chłopcem?

Olek się zaczerwienił i zamilkł, i pani ich pożegnała, bo znów weszły dwie kobiety z metryczkami dzieci, żeby zapisać je do ochrony.

Władowi było przykro. Kochał swego przyjaciela bardzo, ale czasem trochę za niego się wstydził. Raz nawet w czytelniku powiedziano Olkowi, że, jeżeli się nie uspokoi, książek mu nie wydadzą. Wtedy też powiedziano:

— Nie błażnij.

Wogóle Olek czasem jest mądry i miły, a czasem tak jakoś dziwnie mówi, jakby chciał koniecznie, żeby się z niego śmiali.

— Pani się rozniewała na ciebie — zaczął Władek, chcąc przerwać niemiłe milczenie.

— To nic, przepraszamy się znowu. W niedzielę jadę do ciotki, to narwę kwiatów, ułożę bukiet i złotym atramentem napiszę: „Na przeprosiny“.

Olek dużo mówił o czasach, kiedy sam chodził do ochrony.

— Ona jest bardzo dobra. Ale tu jest inna ochrona; psubym tam chodzić

nie radził. Za byle co targa za uszy albo linją bije po palcach. Taka, powiadam ci, wściekła, jak ciężka cholera.

Władkowi zdawało się, że Olek i do innej ochrony też musiał chodźć, ale chyba niedługo.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY.

Mama przepowiadała, że będzie coraz gorzej, a jednak było teraz lepiej, niż na początku. Pan Witold z Pragi oddał ojcu trzydzieści rubli, które był winien; sprzedano niepotrzebną komodę. I znów zaczęło się ukazywać masło na chlebie i częściej mięso na obiad. A maleńka Abu otrzymała pierwsze w życiu trzewiczki.

Abu została uratowana.

Nikt jej nie weźmie na własność, nikt nie wyniesie już z domu.

— Nasza Abu! — mówią dzieci z dumą i, idąc na podwórko, zabierają z sobą.

Bo dawniej Władek ani Mania nie chcieli schodzić z Abu na dół; sądzili, że nie wypada im piastować dzieciaka, jak pierwszemu lepszemu, który nigdy do szkoły nie chodził. Bo dawniej Abu była mamina — teraz do wszystkich należy.

Więc Władek kupił dla Abu prawdziwą szwajcarską czekoladę, po której Abu

trzy razy wymiotowała; Mania darowała jej mniejszą lalkę, choć wiadomo było, że ją Abu do reszty potłucze; a Pchełka i Wicusz szykowali dla Abu niespodziankę, którą pletli i wyszywali w ochronie. (Pani przyjęła Wicusia do ochrony, chociaż był trochę za mały).

Dzień Władka tak teraz wygląda:

Rano idzie Władek do sklepiku po drzewo na podpałkę, po chleb i naftę. Potem pomaga sprzątać pokój, który wcale czysty nie jest, chociaż tak wysoko. Potem z Manią ma lekcje, żeby nie zapomniała, czego się nauczyła w szkole. I mamie w obiedzie pomaga.

Szkoda, że wtedy nie oddał metryki Mani, która mogła chodzić do szwalni i uczyć się szycia; a teraz już było za późno.

O godzinie czwartej szedł Władek do kantoru kurjera, gdzie były przyklejone na ścianach wszystkie ogłoszenia. Trzeba było bardzo się śpieszyć, żeby mieć dobre miejsce, żeby przepisać adresy, gdzie poszukują chłopca na posyłki do sklepu, i prędko biedź pod wskazany adres.

Władek nie znał dobrze Warszawy. Musiał po drodze pytać się przechodniów, gdzie jest i jak iść na potrzebną ulicę; a kiedy przychodził wreszcie, zawsze się dowiadywał, że przyszedł za późno, albo że jest za mały, albo że umie za mało.

— No i cóż? — pytała mama.

— Ano nic — odpowiadał Władek, zupełnie tak samo, jak dawniej mówił ojciec, kiedy szukał miejsca.

Wielu musiało być chłopców, którzy szukali pracy, bo dużo razy słyszał Władek, że przyszedł za późno, że już był ktoś przed nim i został przyjęty. Dużo chłopców, dziewcząt i starszych ludzi stało przed kurjerem, czytało ogłoszenia. I przychodzili codzień ci sami, więc także chyba nie mogli znaleźć roboty.

Wiele razy deszcz padał, a oni stali cierpliwie, czekali. Czasem kurjer się spóźnił albo miejsca przy ścianie były zajęte; a zdaleka nie można przeczytać, bo literki są małe.

Raz, kiedy szukał tokarza, gdzie potrzebny był chłopiec, rzucił się na Władka pies na podwórku, i chociaż lekko go ugryzł, ale podał spodnie.

Podobno nie wolno, żeby psy gryzły, i Władek miał prawo żądać nowych spodni od pana, do którego zły pies należał.

Ale trzeba mieć świadka, co widział; a tu tylko stróż jeden stał w sieni i jeszcze się gniewał, jeszcze zwymyślał:

— Patrzcie go — roboty szuka. A może tego szukasz, czego nie zgubiłeś? Znamy was, łapserdaków!

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY.

Było już prawie ciemno. Władek czytał śpiesznie, żeby skończyć rozdział do zupełnego zmroku. Czytał akurat o tem, jak czerwonoskórzy chcieli spalić podróżnika, któremu już na pomoc biegli towarzysze. I nagle ktoś pociągnął Władka za rękaw.

— Kto to? Czego chcesz? — prawie przestraszył się Władek.

To była Pchełka.

Zawsze wesoła i skacząca, Pchełka teraz była pokorna i smutna.

— Władeeek!

— Co?

— Nie będziesz się na mnie gniewał?

Pchełka miała łzy w oczach, duże, okragłe łzy.

— Co zrobiłaś, Pchełko?

— A nie będziesz się gniewał i nie powiesz nikomu?

— Nikomu nie powiem.

— Więc: widzisz, ja jestem niedobra.

Wicus jest mały i głupi; to nie jego wina, że ja kupowałam cukierki.

Wicus, usłyszawszy swe imię, wyłaził z za szafy i wolnym krokiem zbliżył się do Władka.

— Raz kupiłam za grosz, a potem za dwa grosze. Potem założyłam się o dwa grosze i także przegrałam.

— A skąd miałaś pieniądze? — zdziwił się Władek.

— Właśnie, że nie miałam.

Władek wszystko zrozumiał: Pchełka narobiła długów, teraz szarpia ją wierzyciele — tak jak pana Witolda. Pchełka jest lekkomyślna, żyła nad stan i teraz pokutuje.

— Ile jesteś winna? — zapytał Władek.

— Najbardziej jestem winna pięć groszy: w ochronie trzy grosze i na podwórku dwa.

Pchełka dziś nawet wcale nie była w ochronie, bo ta dziewczynka kazała jej przynieść pieniądze, bo dłużej czekać nie może, i powie wszystko pani, i pani ją z pewnością wyrzuci.

— Mój Władku, mój Władku kochany, tylko nie mów nic mamie. Ja już nigdy nie będę.

I Pchełka powoli wszystko powiedziała.

Zaczęło się od tego, że kupiła od Józi landrynkę za grosz, niby że będzie jej winna — bo przecie za grosz można dostać

cztery landrynki. Potem nie miała grosza, więc się założyła i przegrała — to już były dwa grosze. Wtedy Józia kazała jej przynieść serwis Mani za te dwa grosze, ale Pchełka nie chciała. Potem Wicus powiedział, że się poskarży mamie, więc musiała mu kupić karmelek, żeby nic nie mówił, i pożyczyła od dziewczynki w ochronie; tego karmelka nawet nie skosztowała. Władek pamięta to zielone szkiełko, co, jak przez nie patrzeć, wszystko było zielone? Więc szkiełko i pieczętkę z aniołem i maluskiego kotka porcelanowego bez nogi — wszystko oddała — i więcej nic już nie ma.

Władek zupełnie zapomniał o podróżniku, którego mieli spalić czerwonoskórzy.

Gdyby zamiast myśleć, o Indianach i tygrysach, więcej patrzył na Pchełkę, toby zauważył, że już dawno była ona smutna, że nie śmieje się i nie skacze, jak dawniej, że niechętnie chodzi do ochrony, że tajemniczo szepcą ciągle z Wicusiem. Mama prosiła, żeby uważał na Pchełkę i Wicusia, a on co? — nic sobie z tego nie robił.

Pchełce obiecał Władek, że spłaci jedenaście groszy długów, a sobie przyrzekł, że więcej będzie dbał o młodsze rodzeństwo.

I kiedy Pchełka znów głośno się śmiała i wesoło skakała, Władek myślał z zadowoleniem, że to jego zasługa.

ROZDZIAŁ JEDENASTY.

Teraz się nareszcie wykryło, dokąd mama wychodzi codziennie i długo nie wraca. Chodziła mama od jednej cukierni do drugiej, od jednej piekarni do drugiej — i szukała dla ojca lepszego zajęcia. Po drodze wstępowała do sklepów i pytała, czy nie potrzebny chłopiec do posług albo dziewczynka, to znaczy Mania.

Władek dobrze wiedział, jak przykro słyszeć wszędzie, że się jest niepotrzebnym, i nie dziwił się teraz, że mama tak się ciągle gniewa. Jeden powie grzecznie, że niema u niego roboty; drugi ofuknie, żeby mu nie zawracać głowy, a trzeci każe się wynosić. Nawet pies rzuca się na tego, kto szuka pracy — wie o tem Władek.

Dopiero teraz mama powiedziała wszystko odrazu.

Ojciec będzie miał dzienną robotę i lepiej płatną, bo go tam znają jeszcze z dawnych czasów, kiedy był młody i nie miał

dzieci ani żony. Mania chodzić będzie do fabryki kwiatów. Władek pójdzie do mydlarni, gdzie musi być bardzo ostrożny, żeby nie zrobić pożaru.

— Nie zdechniemy z głodu w zimie — powiedziała mama wesoło; ale ojciec był smutny i wzdychał.

— Nie o tem ja myślałem — powiedział ojciec.

— Słuchaj, Antoni — tłumaczyła mama — nie bądźże dzieckiem. Wiesz, ile nam zostało z pieniędzy Witolda? wszystkiego dwanaście rubli. Pamiętaj, że zima się zbliża. Może na wiosnę znów odbierzesz trochę pieniędzy, i coś się lepszego obmyśli.

— Ja wiem; ale jakże dzieci tak gonić do pracy. Już i tak się nie uczą. Co z nich wyrosnie?

Pierwszy raz mama rozmawiała o ważnych sprawach przy Władku i Mani; dawniej wysyłano ich zaraz z pokoju.

Mama wzięła ołówek i papier, zaczęła rachować, ile kosztuje komorne, węgle, jedzenie. Potem obliczyła, co trzeba kupić z ubrania. Gdzież myśleć o szkole i książkach? A gdyby nawet darmowa szkoła — i tak nic z tego nie będzie. Władek i Mania zarobią razem ośm i pół rubla — bez tych pieniędzy nie można się obyć.

— Wyrzutów ci nie robię — powiedziała mama — ale dużo tu twojej winy.

Wtedy ojciec zerwał się z krzesła, nie odpowiedział, włożył czapkę i wyszedł. Władek dużo myślał tego wieczora.

Już dawno podejrzewał Władek, że jest andrusem, bo do szkoły nie chodzi, bo z gołą głową schodzi na podwórze i małą Abu nosi na rękach. Ale nie jest jednak andrusem, bo papierosów nie pali, nie mówi brzydkich wyrazów, nie wiesza się przy dorożkach i tramwajach; a jeśli widzi ucznia w tornistrze, chociaż mu bardzo przykro, nie woła przecież:

Uczeń pierwszej klasy
Złapał konia, zjadł kielbasy.

I Olek nie jest andrusem. Olek chce być sławnym wodzem, ale nie może, bo musi zarabiać.

Są na podwórzu andrusy; ale nie dlatego, że nie mają tornistrów, piórników i paszków z błyszczącymi klamrami, tylko że nikt ze starszych nie ma czasu, aby się nimi zając, aby im powiedzieć, co dobre, co złe.

I Władowi przyszła do głowy pewna myśl, o której musi naradzić się z Olkiem.

ROZDZIAŁ DWUNASTY.

Trzy tygodnie trwały narady. Bo teraz i Władek cały dzień zajęty w mydlarni, więc dopiero wieczorem zbierali się na dachu lodowni. Radzili Olek i Władek, potem wzięli Manię i Natalkę. Przychodziła głuchoniema Michalinka, ale ona tylko patrzyła — niech sobie siedzi, kiedy nie przeszkadza.

Wreszcie *statut*, to jest przepisy stowarzyszenia, był gotów. Nazwa początkowo brzmiała „Zeterce” — i tak nazywano nowe stowarzyszenie, dopóki Władek nie zauważył, że *honor* napisany był w książce przez *h*, a nie przez *ch*. Trzeba więc było „Związek rycerzy honoru” nazwać: „Zeterha” — i tak było lepiej; bo dlaczego honor w skróceniu miał się mówić: *ce*?...

„Zeterha” jest związkiem rycerzy honoru.

„Zeterha” ma hasło: Sława.

„Zeterha“ ma naczelnego wodza. Naczelnym wodzem może być także dziewczynka, jeżeli się zgodzą związkowcy.

Kto należy do „Zeterha“, temu nie wolno kłamać, ani męczyć zwierząt, ani palić papierosów, ani drażnić i śmiać się z małych dzieci; ale powinien bronić je w niebezpieczeństwie i pomagać.

Jeżeli na podwórku jest dziecko chore, kaleka albo głuchoniema, a „Erha“, to jest rycerz honoru, ma karmelek, powinien oddać karmelek małemu albo nieszczęśliwemu; tak samo ma zrobić z zabawką, jeżeli rodzice pozwolą.

„Erha“ powinien brać książki z czytelnymi, ale nie wolno mu niszczyć książek. „Erha“ musi co tydzień przeczytać jedną książkę naukową.

„Erha“ nie może kraść choćby na żarty, ani wycyganiać od głupszego prezentów, ani mówić brzydkich wyrazów, ani błaznować.

Jeżeli „Erha“ ma nieczystą głowę, musi ją umyć. Także musi czyścić sobie ubranie. Jeżeli szyc nie umie, dziewczynki przyszyją mu guziki.

„Erha“ będą zbierali się w zimie codzień w innem mieszkaniu i będą czytali głośno, jeżeli kto czytać nie umie.

Naczelny wódz naznacza codzień naczelnika podwórka i schodów, żeby pilnowali.

Obowiązki naczelnika podwórka:

1. Żeby malcy się nie bili.
2. Żeby nie byli nieprzyzwoici.
3. Żeby nie oszukiwali.
4. Żeby nie śmieć.
5. Żeby się nie sprzeciwiali.

Naczelnikiem może być tak samo chłopiec, jak dziewczyna.

Jeżeli naczelnik podwórza sam nie da rady, daje hasło kukulki, i wszyscy „Erha“ muszą mu przyjść na pomoc.

Naczelnik podwórka ma buławę, którą otrzymuje od naczelnego wodza.

Wszystko to samo robi naczelnik schodów na schodach. Także musi zbierać pestki, kawałki szkła i wszystko, o co można się skaleczyć albo przewrócić.

Wszyscy „Erha“ pomagają siróżowi, żeby było czysto.

Żadnych pieniędzy ani składek tymczasem nie zbieramy, bo musimy zobaczyć, czy nam się uda.

Jeżeli rodzice niesprawiedliwie biją dzieci, dwaj posłowie z „Zeterha“ idą tam i proszą, żeby tego nie robili.

Każdy nowy rycerz odczytuje taką rotę przysięgi:

„Ja... (imię i nazwisko) przystępuję do „Zeterha“, to jest do „Związku rycerzy honoru“. Przyjmuję hasło: Sława, która jest rzeczownikiem nieśmiertelnym. Wiem, czego

mi robić nie wolno, a jeżeli coś takiego zrobię, przyznam się, powiem prawdę i niech mnie osądzą, na jaką zasłużyłem karę”.

Pięć razy trzeba było przepisać statut „Związku rycerzy honoru”, bo jeden egzemplarz wziął Władek, jeden Olek, po jednym Natalka i Mania, a piąty włożono do butelki i zakopano późnym wieczorem koło telegraficznego słupa, jako statut węgielny.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY.

Nadeszła zima, zasypała śniegiem podwórko i lodownię, przepędziła dzieci do izby. Ucichły głośne zabawy, opustoszały sienie i schody.

Wicusz nie chodzi do ochrony, bo nie ma ciepłego palta. Władek odmroził uszy, które spuchły i pieką. Rano tak zimno w pokoju, że para idzie z oddechu. Ojciec i mała Abu kaszlą bardzo głośno. A węgiel jest coraz droższy.

O imieninach Pchełki dopiero wieczorem przypominano sobie; o gwiazdce i choince nie mówi nikt w domu, choć do mydlarni przysły już dwie skrzynki świeczek czerwonych i niebieskich.

Nadszedł list ze wsi, że babcia jest chora — czyby ojciec nie chciał przyjechać?

Ojciec poszedł do wuja, wrócił późno wieczorem i mówił bardzo wiele i głośno.

Mówił, że dawniej ludzie nie znali węgla i żyli; że go nic nie obchodzi dzieci,

bo każdy powinien myśleć o sobie; że najlepiej iść do lasu i żyć między wilkami, bo wilka można oswoić; że ludzie są gorsi od wilków, bo syty wilk pozwoli się najeść głodnemu. Potem mówił ojciec, że, kiedy był dzieckiem, jadał od niedzieli do niedzieli suchy chleb razowy z wodą, a przecież wyrósł i w wojsku dosłużył się rangi; że wódka wcale nie jest zła, bo człowiekowi rozum oświeć, jak lampa elektryczna.

Władek głowę schował pod kołdrę, bo zrozumiał, że ojciec tak mówi, jak starszy brat Bronka, kiedy jest nietrzeźwy.

Mama próbowała ojca uspokoić:

— Mów ciszej, Antoni, bo dzieci pobudzisz.

Ale ojciec odpowiedział, że chce mówić głośno, bo to jego mieszkanie; a komu się nie podoba, niech się wynosi.

Mama chciała dać ojcu herbatę, ale ojciec rzucił szklankę na ziemię.

Wtedy obudziły się dzieci, zaczęły płakać, a ojciec zaczął krzyczeć; powiedział, że wcale nie chce być tatusiem, że mama wcale mu nie potrzebna, że do Ameryki pojedzie.

— Władka zabiorę z sobą. W Ameryce wyrośnie na człowieka; tu zmarnieje, na psy zejdzie, pijakiem zostanie.

Położył głowę na stół i nic więcej nie mówił, tylko trząsł się, jakby mu zimno

było. A mama głaskała ojca po głowie i szeptała:

— Cicho, Antoś, nie trać zdrowia, bo go nam jeszcze długo potrzeba. Nie jest znowu tak źle — byle zimę jakoś przebiec.

Przecież nie oni jedni się męczą — wszędzie to samo. Ci, co obok mieszkają, komornego nie zapłacili jeszcze — gospodarz chce ich na bruk wyrzucić; szwaczka na dole już drugi tydzień nie ma roboty; u dorożkarza nędza taka, że wczoraj musiała im mama dwa złote pożyczyć.

— I pożyczyłaś? — zapytał ojciec.

— A cóż miałam robić?

Ojciec się bardzo ucieszył.

— Widzisz, na mnie mówiłaś — ty to samo robisz. Bo czy można odmówić bliźniemu w potrzebie?

Chwalił ojciec mamę, że ma dobre serce, całował ją w rękę i dziękował, że dorożkarzowi dwa złote pożyczyła.

I Władek pomyślał, że byłoby dobrze, żeby ojciec chciał należeć do „Związku rycerzy honoru“, że wtedy ojciec byłby naczelnym wodzem, jako najstarszy, i ustaliłyby ciągle klótnie, bo starszego wszyscy musieliby słuchać.

Trzebaby zmienić statut i dodać, że „Erha“ nie wolno pić wódki i nie wolno plotkować.

Bo przez plotkę wypisała się od nich Natalka; bo powiedzieli, że jej ojciec siedział w więzieniu wcale nie za politykę.

A Natalka bardzo była pożyteczna, bo jej nawet chłopcy słuchają.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY.

Sześć razy na tydzień zbierali się „rycerze honoru“ na wspólne głośne czytania, co wieczór w innem mieszkaniu: w poniedziałek u pana Józefa, ślusarza z fabryki żelaznej; we wtorek u rodziców Olka, we środę u Władka, w czwartek w sklepiku, gdzie Władek prowadził rachunki, w piątek u konduktora i w sobotę u matki Michalinki. W sklepiku częstowano ich nawet herbatą, a każdy rycerz otrzymywał bułkę z twarogiem. Prócz tego grywano niekiedy w warcaby. A więcej nie było co robić.

Dopiero w lutym odbyło się przedstawienie z fantową loterją. Bilety na przedstawienie kosztowały po dziesięć groszy dla dorosłych i po cztery dla dzieci. A bilety fantowej loterji były po dwa grosze.

Najgłówniejsze fanty są takie: dewizka z globusem, serwis dla lalki, scyzoryk z dwoma ostrzami, pachnące mydło, cebulka

hiacyntu, ciastko z kremem, plecione z papierków ramki do fotografii i złota rybka w słoiku. Niektóre fanty zebrali między sobą, inne dostali od starych w budzie; złotą rybkę kupili za dwadzieścia groszy, bo jeden fant musi być żywy. Na prawdziwych fantowych loterjach jeden fant jest także albo kucyk, krowa, albo co innego żywego.

Przedstawienie miało być z początku dramatyczne. Olek razem z Manią napisali dramat napoleoński, potem historyczny, z „Potopu”. Władek już wie teraz, że „Potop” — to powieść Sienkiewicza, i wie, że Mania dlatego wszystko dziwnie opowiada, bo ma talent literacki. Tak mówi Olek.

W dramacie jedna rzecz jest niedobra: jeżeli się tylko ktoś jeden pokłóci — wszystko odrazu popsute. Już się niby wszyscy zgodzili, że Olek będzie Napoleonem — znowu mieli pretensje, że Napoleon najwięcej mówi, a inni stoją tylko — i nic.

— Cały świat podbiję! — woła Napoleon. — Podbiję Europę, Azję, Afrykę, Amerykę i Australję. Patrzcie, moi wierni towarzysze: oto ten brelok dewizki, ta mała kulka — to cały świat, to jest globus. Bo trzeba wam wiedzieć, że ziemia ma kształt kuli. Wszystkie ludy będą mi posłuszne — i będę sławny.

— Napoleonie, a co z nami będzie? — zapytuje generał Dąbrowski.

— Bądź spokojny, włos wam z głowy nie spadnie, umiłowany wodzu bohaterskiego narodu!

Jaki ten Julek głupi: powiada, że Napoleon nie może na scenie mówić po polsku! Chyba nigdy do teatru nie chodził; bo Olek był już pięć razy.

Tak czy inaczej, dramatu nie było; a był koncert.

Grał gramofon, Olek deklamował, brat Bronka udawał głosy rozmaitych zwierząt i ptaków, Stefek z Józją tańczyli krakowiaka przy akompaniamencie harmonii; potem były śpiewy i śmieszny monolog.

Bawiono się doskonale i śmiano się, że ciastko z kremem wygrał stary pan Piotr, który się niedawno dopiero ożenił, a rybkę wygrała sklepiczarka, która dzieci nie ma.

Natalka przeprosiła się, była na zabawie i śpiewała nad program. A głuchoniema Michalinka cieszyła się najbardziej, bo zarobek z zabawy był przeznaczony na to, żeby jej kupić paltocik, bo całą zimę nie mogła wychodzić.

Lekkomyślna Pchełka i mały Wicusz tacy byli zadowoleni, tak się śmiali, kiedy brat Bronka udawał starego i młodego koguta, rozgniewanego indyka, psa, który z kotem rozmawia, kokoszkę, co jajko zniosła, i szczeniaka, którego biją, że zrobił nieporządek!

Długo, bardzo długo pamiętał Władek tę zabawę.

Kiedy umarli Wicuś i Pchełka, kiedy Olek wyjechał nazawsze do Łodzi, wspominał ich Władek nie inaczej, jak na pięknej zabawie z fantową loterją.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY.

Władek dostał lekcję, miał uczyć Kazia i Zosię liter i rachunków.

— Tylko czy dasz radę, kawalerze? bo sam masz jeszcze mleko pod nosem — powiedział ojciec dzieci.

— Dam radę, postaram się — odrzekł Władek.

— A wy, raki zatracone, żebyście się nie spoufalali — pamiętajcie! Na przywitanie się klaniać grzecznie i mówić mu „pan“ — rozumiecie? Nauczycie się czytać, to tak, jakbyście drugi raz oczy dostali. To będzie wasz dobrodziej, po ojcu i księdzu trzecia osoba. Jak się poskarży na które, tak skórę wyłożę, że popamiętacie, wisielce! Głowę do góry trzymać, w oczy patrzeć, gałgany! — Jak to łby pospuszczali! — A ty, kawalerze, jakby co — zaraz w kark, przez ucho, spustu nie dawaj!

Władek zadowolony był, że się oracja

skończyła, bo dzieci nic jeszcze złego nie zrobiły — więc poco się na nie gniewać?

Na lekcji wszystko szło dobrze.

Władek pokazał cztery pierwsze litery, wytłómaczył, że *b* ma brzusek na prawo, a *d* ma brzusek na lewo. Trochę mu głos drżał ze wzruszenia. Potem kazał liczyć do dziesięciu na palcach i na tabliczce. Potem przeczytał powiastkę o kłamcy-pastuszku i o wilkach. Wreszcie napisał w kajecie kreski i krzyżyki na jutro.

— No, dosyć będzie pierwszy raz — powiedział ojciec Kazia i Zosi. — Ukłońcie się panu nauczycielowi. Tak, mój kawalerze, nic życie darmo nie daje.

Władek, chociaż głodny, bo przyszedł na lekcję prosto z mydlarni, musiał wysłuchać długiej przemowy o nauce, szacunku i figlach dziecięcych.

Nazajutrz lekcja poszła tak źle, że gorzej być wcale nie mogło. Na przywitanie Kazio uklonił się nisko i niby nienaumyslnie się przewrócił. Zosia wypięła brzuch, zaczęła biegać po pokoju i wołać, że jest *b* i *d*. Jedno wlaźło pod stół, drugie za łóżko. Władek stracił głowę. Najprzód prosił; obiecał, że powie bajkę, że kupi im po karmelku — ale to nie pomogło. Chciał nawet uderzyć Kazia, ale chłopak odskooczył i powiedział groźnie:

— Spróbuj mnie tylko ruszyć!

Władek zmierzył ku drzwiom, bliski płaczu.

— A z lekcją co będzie? — zapytały dzieci.

— Jesteście źli i głupi. Nie będę was uczył.

— A ty masz mleko pod nosem — powiedział Kazio; ale Zosia zgromiła brata, przestraszona:

— Cicho bądź i nie mów mu: ty. Słyszaleś, że ojciec kazał mu „pan“ mówić?

Władek został, bo obiecali, że będą spokojni. I niby siedzieli przy stole; ale na złość źle odpowiadali i co chwila wybuchali śmiechem.

Wyszedł Władek zmęczony i smutny i przypomniał sobie, jak na dawnym mieszkaniu poszedł do kawiarni z przeciwka, do tego Smoka; prosił, żeby gdzieindziej założył swój sklep ze stolikami z marmuru.

— Mój tatuś tu był pierwszy — powiedział — poco pan wynajął naprzeciwko tatusia?

Smok nie rozumiał z początku, a kiedy się domyślił, o co idzie, przepędził Władka, nazwał go śmierzdzielem, smarkaczem, który się wtrąca do nieswoich rzeczy.

I pomyślał Władek, że najbardziej boli, kiedy chce się zrobić coś dobrego, a jest się źle zrozumianym, że najbardziej boli niesprawiedliwość.

Dlaczego dzieci tak go dzisiaj skrzywdziły? przecież nic im złego nie zrobił.

Dlaczego Smok tak go sponiewierał? Czyż nie miał słuszności, że chciał ojca obronić?

Dlaczego ludzie są gorsi od wilków? boć syty wilk pozwoli się najeść głodnemu.

ROZDZIAŁ SZESNASTY.

Raz Władek wrócił do domu słaby bardzo. Do herbaty nic nie jadł, położył się zaraz do łóżka — zimno mu było. Chciał zasnąć, ale czuł się niedobrze — nie wiedział, czy gardło go boli, czy męczy wypita herbata. Przemordował się, aż zegar wybił dwunastą — i nie mógł już dłużej.

— Mamó! — zawołał.

Mama nie odpowiadała. Leżał jeszcze Władek, próbował zasnąć — nie, coraz gorzej.

— Mamooo!

— Co?

— Nie mogę spać.

— Przeżegnaj się — powiedziała mama sennym głosem.

Ale Władkowi coraz gorzej było. Zaczął jęczeć. Mama zapaliła lampę, doszła do łóżka; już do rana przy nim siedziała. A rano zachorował i Wiciuś.

Władek wie, że czas wstać i iść do mydlarni; słyszy, że Wiciuś krzyczy w go-

rażce, słyszy, jak mama z ojcem rozmawia — ale mu wszystko jedno. — Paskudna jest ta mydlarnia: takie brudne wszystko, tak brzydko pachnie... Olkowi lepiej w składzie papieru.

Przyszła jakiś pan, oglądał jego i Wicusia; mama zaczęła płakać, pan się na mamę gniewał; potem ojciec wrócił, ubrali Wicusia i Władka, kołdrą owinęli i znieśli po schodach do dorożki.

— Dokąd jedziemy? — zapytał Władek.

— Do szpitala.

— Poco?

— Nie rozmawiaj, bo zimno.

I mama nasunęła mu chustkę na głowę.

Władek wszystko rozumie. Jedzie dorożką na dużym siedzeniu z Wкусиem, a mama i ojciec na małej ławeczce. Potem stoją przed domem z kratami. Potem pan w białym fartuchu kładzie mu głęboko w gardło żelazo. Władek widzi, że to nie łyżka, tylko coś innego. Teraz siedzi w wannie — myje go pani w białym fartuchu. I już są w łóżku; słyszy, jak Wicus rzuca się i gniewa.

— Cicho tam, szczeniaku — woła jakiś chłopiec.

Bo w dużym białym pokoju stoją łóżka blisko jedno obok drugiego, i w każdym łóżku ktoś leży.

— Jeżeli zechcą bić Wicka, to go obroń — pomyślał Władek.

Ale Wicusia nikt nie bił. Ile razy budził się Władek, podnosił głowę i patrzył, co robi Wicus. Raz widział przy nim pana w fartuchu, to znowu siostrę miłosierdzia w białym czepku z dużymi skrzydłami.

— Wicus umrze — pomyślał Władek.

Przyszło rano i znów wieczór. Władek czuł się już lepiej, tylko gardło go mocno bolało i pić mu się chciało. Usiadł, patrzył na brata, i żał mu było, że nie chciał wtedy dać Wucusiowi flaszki od wody kolońskiej.

— Wicus, czego krzyczysz? co chcesz?

— Nie mów do niego, on nieprzytomny — powiedziała pani.

To dziwne, że wszyscy tu chodzą w białych fartuchach.

Zasnął Władek i ani razu się nie obudził. Aż dopiero zawołał go chłopiec, który leżał przy jego łóżku:

— Te, patrzaj, niema twojego brata!

Władek się przestraszył.

Ale wszedł felczer, który mierzy wszystkim gorączkę rano i wieczorem.

— Proszę pana, gdzie Wicus?

— Zabrali go rodzice.

— A mnie kiedy zabiorą?

— Ty duży, nie tęsknisz do domu.

Władek westchnął: i on chce być w domu. Gardło go tylko troszke jeszcze boli.

ROZDZIAŁ SIEDMNASTY.

Władek był już zupełnie zdrow, tylko mu skóra z rąk i nóg schodziła. Władek zdrapywał kawałki skóry, żeby prędzej wrócić do domu. Destawał już bułki do jedzenia, ale tylko dwie.

W niedzielę odwiedził go ojciec; mama nie mogła przyjść, bo Pchełka chorą. Na przyszłą niedzielę Władek wróci do domu. Tak mówi doktor. — Czy dobrze Władowi w szpitalu?

— Dobrze, tylko się przykrzy bardzo. Wczoraj chłopakowi, co leży przy oknie, przecinali wrzód na szyi; wcale go nie bolało, bo mu dali na sen takie krople. A ten, co leży przy ścianie, jest także z ich podwórka, ten chłopak pościanca, co go tak biją, nie chce wracać do swoich, bo tu codzień mięso dostaje i w łóżku śpi. — Czy Wicusz naprawdę jest w domu? i dlaczego zabrali go w nocy, a nie w dzień po wizycie rodziców, jak wszystkich? — I teraz także dwoje

dzieci jest wypisanych, bo zdrowe. — Czy Wicus już nie krzyczy i czy przytomny?

Niecierpliwie czekał Władek następnej niedzieli. Szybko wbiegł po schodach do mieszkania. Jest Mania, jest Abu, a w łóżku ktoś leży. To Pchełka leży w łóżku, ale całą głowę ma obwiązaną i taka zupełnie inna.

Chciała Pchełka przywitać się z Władkiem, ale tylko głową ruszyła, jęknęła i znowu oczy zamknęła.

— Władeczek!

— Co chcesz, Pchełko?

— Czy Wicus już zdrowszy? Kiedy wróci do domu?

Władek spojrzał na mamę i wszystko zrozumiał — i tak mu się zrobiło, jak wtedy, gdy mieli Abu oddać sklepiczarce na własność.

Trzy dni Pchełka nic nie mówiła, nie jadła, nie piła, tylko cicho nawet przez sen jęczała. Czwartego dnia, kiedy Władek przyszedł z mydlarni na obiad, a mama zmęczona zasnęła, Pchełka cichutko - cichutko zawołała Władka.

— Władek, znasz Helenkę?

— Siostrę Karola?

— Tak... Ja jej winna jestem dwa grosze... Jak umrę, to oddaj... I nie gniewaj się na mnie.

Pchełka mówiła bardzo cicho, bo na

wargach miała czarne strupy, które ją bardzo bolały, i trzeba było ciągle przykładać kawałki waty, zamoczone w zimnej wodzie.

— Władek, poproś mamy, żeby już nie robili opatrunków, bo to tak boli... tak bardzo boli!

Jeszcze tylko jeden opatrunek robili Pchełce, a drugi już był niepotrzebny...

Władek nie chciał czekać, aż dostanie miesięczną pensję; wziął od Olka sześć groszy, odnalazł Helenkę.

— Pchełka pożyczyła od ciebie dwa grosze, prawda?

— Tak — powiedziała Helenka i jakby się zawstydzila.

— Masz tu sześć groszy.

Helenka nie chciała wziąć więcej, niż się należało.

— To resztę oddaj dziadkowi i powiedz, żeby zmówił pacierz za duszę Wicusia i Pchełki.

A Mania taki wiersz napisała:

Nie płacz, mamusiu, nie płacz, tatusiu,
Pchełka ma białe skrzydełka.

Jest teraz w niebie, ma koło siebie

Wicusia, synka waszego.

Aniolki białe i jasne całe

Śpiewają piosnki radosne,

Żegnają mamę, żegnają tatę,

Witają słońce i wiosnę.

ROZDZIAŁ OŚMNASTY.

— Prawda, że chcesz być sławny? — zapytał Olek.

— Chcę — odpowiedział Władek bez wahania.

— Czy także sławnym wodzem?

— Chyba nie — mówi Władek.

— W ważnych sprawach niema „chyba“ — oburzył się Olek.

Władek powiedziałby Olkowi — tylko żeby się nie śmiał. Władek chce być sławnym doktorem. Od czasu jak Pchełka i Wicuś umarli, często myśli o tem, choć wie, że to niemożliwe.

Czemu niemożliwe? Czy Władek nie czytał życiorysów znakomitych samouków i męczenników wiedzy? Wszystko można, tylko trzeba naprawdę chcieć i wiedzieć, jak wziąć się do rzeczy. Żeby zostać doktorem, trzeba tylko szkołę skończyć. Wodzem być trudniej: wódz musi mieć armję dopiero.

— Jakże ja skończę szkołę, do której wcale nie chodzę? — szepnął Władek z gorczycą.

— Będiesz chodził, zobaczysz. I ja będę chodził, bo wódz musi też dużo umieć.

Olek wynalazł w Warszawie szkołę niedzielną, to znaczy, że można cały tydzień pracować i tylko raz w niedzielę idzie się do szkoły. Wpis nic nie kosztuje, tylko zapisać musi właściciel dużego sklepu, bo taka jest formalność.

— Ja wszystko robię strategicznie — powiada Olek. — Szkoła — to forteca, którą chcę wziąć szturmem. Poznałem teren i przeszkody. Jutro pierwszy atak.

Nazajutrz podczas obiadu spotkali się przed wielkim sklepem, gdzie właściciel miał ich zapisać.

— Jesteś? Dobrze. Teraz głowa do góry, pierś naprzód, przeżegnaj się — i marsz, a śmiało!

Władek za żadne skarby nie byłby sam wszedł.

— Mamy nie cierpiący zwłoki interes do pryncypała — powiedział głośno Olek, wszedłszy do sklepu.

— Nie cierpiący zwłoki? — zdziwił się subjekt i wyszedł do drugiego pokoju.

Po chwili wprowadzono ich do gabinetu, gdzie siedzieli dwaj panowie: młody i stary, siwy.

— Czego chcecie, chłopcy? — zapytał ten młody.

— Chcemy, żeby pan nas zapisał do szkoły niedzielnej.

— A wy skąd jesteście?

— Ja pracuję w składzie papieru, a mój przyjaciel w mydlarni — mówi Olek.

— Więc dlaczego przyszliście do mnie?

— Bo pan należy do „Zgromadzenia kupców“.

— No tak, ale ja mogę tylko swoich chłopców zapisać.

— Myśleliśmy, że pan nie odmówi, bo to przecież tylko formalność — śmiało odzekł Olek.

Siwy pan włożył okulary i nagle zapytał powoli:

— A co to znaczy formalność?

— Formalność — odpowiedział Olek — to jest takie głupstwo, które trzeba zrobić, żeby chodzić do szkoły, żebym ja mógł zostać wodzem, a mój przyjaciel doktorem.

Władek byłby się schował pod ziemię ze wstydu. Jak można obcemu tak wszystko zaraz mówić?

— Dobrze, ja was zapiszę — powiedział siwy pan. — Wstąpcie jutro do mnie.

Olek wyjął notes, pan podyktował swoje nazwisko i adres, i Olek może trochę za głośno powiedział, wychodząc:

— Moje uszanowanie!

253 266

Kiedy wyszli, Olek odsapnął głęboko:

— Pierwszy atak zwycięski, jutro druga potyczka!

— Ale ja z tobą nie pójdę — zastrzegł się Władek.

— Obejdzie się bez łaski. Jutro sam sobie poradzę. Powiem staremu, że jesteś nieśmiały.



253266